



Uratują nas śmiech i książki

O praktykach czytelniczych w czasach kwarantanny, kolejnej książce, Coney Island i nowych formach reportażu Paulinie Frankiewicz opowiada Karolina Sulej.

Paulina Frankiewicz: Jak Ci się czyta i pisze w dobie pandemii?

Karolina Sulej: Mam wrażenie, że cofnęłam się do czasów, kiedy jako nastolatka nie miałam zbyt wielu znajomych, bo byłam tą dziwną osobą w liceum, która zamykała się w pokoju przed mamą i spędzała dni na wyobrażaniu sobie różnych rzeczy, czytaniu i pisaniu bardzo złych wierszy. Dla mnie kwarantanna jest czasem kokonu, kiedy bardzo dużo czytam i piszę. Tak się złożyło, że byłam na kwarantannie zanim to „stało się modne”, ponieważ luty spędziłam z Krakowie na rezydencji w mieszkaniu Wisławy Szymborskiej, gdzie pracowałam nad książką. Pisałam w lutym i całą kwarantannę w marcu, a izolacja pomogła mi zanurzyć się w temacie, na czym bardzo mi zależało. Kiedy się z niego wynurzyłam, marzyłam jedynie o przeniesieniu się w jakiś inny świat, na co pozwalają książki. Temat, nad którym pracowałam jest emocjonalnie trudny, na zewnątrz panuje koronawirus, więc wbicie klina w postaci alternatywnej rzeczywistości było dla mnie ważne. Wydaje mi się, że książka ma duże znaczenie psychologiczno-terapeutyczne. Zwłaszcza teraz ważne jest, aby aktywizować wyobraźnię, choć fantazjowanie rzadko przychodzi nam do głowy, ponieważ uchodzi za dziecinne i niepoważne. Tymczasem umiejętność bujania w obłokach jest niezbędna dla pielęgnacji zdrowia psychicznego.

Praktyki czytelnicze to teraz szczególnie ciekawy temat, bo po książki sięgają zarówno ci, którzy robili to regularnie, jak i ci, którym dotąd brakowało na to chęci lub czasu. Są też tacy, którzy obecnie nie są w stanie czytać.

Jako współtwórczyni Barłogu Literackiego interesuję się tym, jak ludzie czytają. Robię to też w czasie kwarantanny i widzę, że zwyczaje czytelnicze mają różne odsłony. Są osoby, które sięgają po klasyki, najchętniej te, które przepracowały lęki, jak „Dżuma” Camusa albo po książki, których nie przeczytały, a chwaliły się przed znajomymi, że owszem. Inni zaczynają rozmontowywać stosiki przy łóżkach. Niektórzy przyznają, że ich myśli są zbyt niespokojne, żeby czytać. Podoba mi się ruch wspierania autorów, których książki teraz ukazują się na rynku – żeby ich kupować i czytać. Łukasz Orbitowski ze Szczepanem Twardochem piszą „Zarazka”, który nie jest tym, czego szukam w literaturze, ale bardzo się cieszę, że to robią. Śledzę też sporo dzienników zarazy pisanych m.in. na Facebooku, powstał też otwarty konkurs na Pamiętniki Pandemii organizowany przez Wydział Socjologii i Kulturoznawstwo na Uniwersytecie Warszawskim.

Może pandemia pozytywnie wpłynie na czytelnictwo?

Myślę, że, jak już się przetoczy koronawirus, czekają nas bardzo ciekawe refleksje czytelniczo-branżowe, dotyczące tego, po co nam książka, jak przyczynia się do rozumienia nas samych i relacji społecznych. Tyle się mówi o tym, że musimy sobie wymyślić nowy świat. Lepiej dla nas będzie, jeżeli rad dotyczących tego, jak to robić, poszukamy w książkach, a nie na Facebooku czy w mediach, bo chociaż dziennikarstwo i newsowość są potrzebne, to często robią nam w głowie bałagan.

Literatura pomaga go uporządkować, tworząc historie i sensory, metaforyzuje i uczy empatii, a to chyba najważniejszy pakiet, jaki możemy z tej kwarantanny wynieść.

A jak oceniasz spotkania autorskie, które siłą rzeczy przeniosły się do sieci? Sądzisz, że ten trend ustanie wraz z kwarantanną, czy może kultura stanie się bardziej internetowa?

Przede wszystkim uważam za błąd dotychczasowy brak tego typu spotkań w internecie. Fajnie, że ten format się tworzy, choć jeszcze nie wiadomo, jaki on będzie. Niektóre spotkania wypalają, inne kompletnie nie i nie do końca wiemy, od czego to zależy. Kwarantanna trochę wymusiła ten rodzaj kontaktu czy informowania o książce i to dobrze, natomiast nie uważam, żeby spotkanie autorskie jako takie było zastępowalne. Tu chodzi o aurę pisarza, o to, że jest człowiekiem z krwi i kości, że ma pogniecione ubranie, że w twojej obecności palnie coś głupiego... to jest teatr. Fizyczne spotkanie z autorem jest szalenie ważne dla czytelników. Poza tym, ciężko mi sobie wyobrazić, że osoba, która interesuje się literaturą śledzi na bieżąco wszystkie te spotkania. Unia Literacka jest ciekawa, bo ten nowy twór ma pomagać pisarzom w sposób, jaki do tej pory nie istniał, ale charakter jej działań jest raczej branżowy. Agencja Opowieści wymyśliła fajny format i dobrze, że chwali się swoimi autorami, jednak jeszcze w żaden bezpośredni sposób im nie pomaga. Poza tym jest mnóstwo podobnych inicjatyw innych podmiotów. To wszystko jest bardzo obiecujące, choć jeszcze raczkujące, jest tam dużo do dopracowania. Przez to, że propozycji jest tak dużo, trudno się przebić tym wartościowym. Przydałby się temu zrywowi jakiś kurator. Niezmiennie sprawia mi antropologiczną frajdę przyglądanie się, jak pisarze zachowują w tej nowej oprawie, ale czekam, aż to wyewoluje do takiej formy, że nie będziemy musiały o niej rozmawiać. Bo zawsze chodzi przecież o główną bohaterkę – książkę.

Zastanawia mnie też, czy po drugiej stronie ekranów są ci sami odbiorcy, który przysliby na spotkanie offline, czy szansa na promocję czytania wśród tych, którzy do tej pory na tego typu wydarzeniach nie bywali.

Na pewno jednookienkowe komunikatory nie stworzą wspólnoty, która buduje się podczas spotkań, gdzie można się naprawdę dotknąć. Internet wbrew pozorom nie jest więziogenny. Jest we mnie pewien sceptycyzm, kiedy ktoś mówi mi, że nowe społeczeństwo zostanie wymyślone dzięki internetowi, bo on oczywiście jest ważny i stwarza nowe możliwości, ale nie zbuduje realnego poczucia powiązania. Rzeczywiste spotkania są formą bycia w świecie, która nie zaniknęła przez wieki i nie wydaje mi się, żeby miała zaniknąć teraz. Budujące jest to, że co roku przybywa nam literackich festiwali, mimo że finansowo mają pod górkę. Na każdym z nich są tłumy. Łączą się i wypełniają kalendarz od wiosny do listopada. Do tego cieszące się ogromną popularnością targi książki. Oczywiście nie mamy tak stabilnego rynku książki ani takiej gratyfikacji finansowej tudzież prestiżowej dla autorów jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy, ale wydaje mi się, że powoli idziemy do góry.

A jak wyglądała Twoja rezydencja w mieszkaniu Wisławy Szymborskiej?

Wiedziałam czego się spodziewać, że jest to „zwykłe mieszkanie w bloku”, ponieważ Wisława miała duży sentyment do skromnych, nienachalnych przestrzeni. Mam wrażenie, że przekornie wybrała to mieszkanie, kiedy dostała Nobla. Mieści się w siedmiopiętrowym budynku, klasycznym potworku z lat 90. Dwie pokoje, z których jedna była gabinetem poetki, a druga sypialnią, duży salon z odtworzonym układem poddanych renowacji mebli. Kolory i tworzywa właściwe dla tamtego okresu: ciężka meblościanka, stolik kawowy ze szklanym blatem, stół wypolerowany w jasnym drewnie, ciężkie krzesła z wysokimi oparciami, i fotele: jeden skórzany, drugi obity zielonym sukmem. Wygląda to jak skrzyżowanie gabinetu z mieszkaniem babci. Na półkach zostało trochę bibelotów po Wisławie: straszliwe metalowe różyczki, słoniki porcelanowe, kotki, kubek z napisem „Wisława”, brzydkie kolorowe podpórki do książek, słynna małpa. I to urocze okienko, przez które dziś można wyjrzeć do odnowionej części mieszkania.

Który pokój wybrałaś?

Ten po prawej, były gabinet Wisławy, z widokiem na ulicę i gaik drzewny. Pisała tam wiersze siedząc na kanapie i patrząc w okno, a ja robiłam dokładnie to samo i wtedy najlepiej mi się pracowało. A może to tylko moja projekcja, że tam Wisia dawała więcej inspiracji? Ale fakt faktem, pisałam czasem po 60 000 znaków dziennie. Była to moja autokwarantanna pisarska. Kwarantanna od życia codziennego. Uzmysłowiła mi, jak ważne przy pracy nad trudnym materiałem, jest to, żeby rzeczywiście się odciąć. I jak każdy pisarz potrzebuje czasem społecznego dystansowania się, wirus czy nie wirus. Dzisiejsze czasy nie sprzyjają skupieniu, koncentracji i komfortowi przebywania z dala od codziennych zmartwień. Bardzo jestem wdzięczna Fundacji Wisławy Szymborskiej za tę rezydencję i mam nadzieję, że takie inicjatywy będą się w Polsce mnożyć.

Podczas kwarantanny skończyłaś pisaną pod okiem Wisławy książkę. Opowiesz o niej?

Książka jest poświęcona roli ubrań i rzeczy osobistych w obozach koncentracyjnych w czasie Drugiej Wojny. To temat moich naukowych badań od lat, zaczęło się od pracy magisterskiej dotyczącej

znaczenia ubrań i wyglądu w getcie warszawskim. Jeszcze długo po jej napisaniu chodziłam z pytaniem, czy to jest możliwe i właściwe, żeby opowiadać o życiu i byciu człowiekiem przez odzież nie tylko w czasie pokoju i dobrobytu, ale w momentach kryzysu społecznego, katastrofy kultury. Długo nie miałam śmiałości się za to zabrać, bo towarzyszył mi obraz ubrania jako rekwizytu mody, czegoś absolutnie dodatkowego, ekscesu czasu dobrobytu, pewnego rodzaju dekoracyjnej – nie podstawowej – informacji o człowieczeństwie. Po jakimś czasie zdałam sobie jednak sprawę, że to, w jaki sposób w dziś kulturowo pozycjonuje się modę, przeszkadza mi w zrozumieniu jej roli w czasie II wojny światowej. Wcale nie jest tak, że jeżeli dzisiaj deprecjonujemy ubranie jako świadectwo to znaczy, że ono takim przekątnikiem nie było. Rozmowy z Ocalonymi z Zagłady pomogły mi to dobrze zrozumieć. Dla nich opowieść o ich doświadczeniu poprzez ubranie była czymś absolutnie podstawowym i wielu z nich dziwiło się, że dopiero teraz się im takie pytania zadaje. Podczas badań w Muzeum Auschwitz-Birkenau, natknęłam się na pracę Marii Jezierskiej pt. „Moda w Auschwitz”, w której autorka wielokrotnie podkreśla, że ten, wydaje się błahy, temat dla niej ani dla nikogo w obozie błahostką nie był. Za każdym razem, kiedy się zastanawiałam, czy warto zanurzać się w ten obszar doświadczenia, przypominałam sobie jej słowa oraz to, co już wiedziałam: że odzież da się opisać wiele rzeczy, które pozostaną nieopisane, jeśli się do niej nie odwołamy. Później odkryłam, że myliłam się sądząc, że tego tematu nie ma nigdzie, bo napotykałam go w każdej książce wspomnieniowej i w archiwach na całym świecie.

To będzie reportaż?

Wykonałam podwójną pracę, bo napisałam tę książkę w dwóch wersjach: akademickiej i bardziej reporterskiej. Mam nadzieję, że doktorat będzie czymś, co się wydarzy. Książka dla czytelników będzie na pewno, jest już gotowa. W wersji naukowej są przypisy na każdej stronie, jest opatrzona wstępem teoretycznym, itd. W wersji reporterskiej, a po prawdzie reportersko-eseistycznej, zależało mi, żeby książka była dostępna do czytania, literacka, ale jednocześnie, by była w niej metoda, sytuująca ją na poziomie doktoratu. Mam nadzieję, że to się udało.

Książka ma się ukazać jesienią pod roboczym tytułem „Jasne suknie pozostaną po mnie. Opowieści rzeczy o Zagładzie” w wydawnictwie Czerwone i Czarne. Będzie opowiadała o doświadczeniu obozowym, ale też o tym, jak jest ono pamiętane przez ubranie, czyli o wtedy, ale też o tu i teraz. Zastanawiam się w niej także nad tym, jakie rzeczy uznaje się za skarby, świętości, relikwie, a jakie za śmieci, co nasza pamięć eksponuje, a co przesłania i dlaczego. Ważne jest dla mnie, by nie wpisywać mojej książki w „modę na holokaust” i książki ze słowem „Auschwitz” na okładce. Pisałam w kontrze do niej, bo wracam do doświadczenia i prawdy tamtego czasu, nie tworząc ekscytującej historii pod publiczność.

Porozmawiajmy więc o książce. Skąd wzięłaś język swojej opowieści?

Długo zastanawiałam się, czy pisać językiem naukowym, czy z reporterskim sznytem. Ostatecznie powstał tekst antropolożki, ale piszącej bardziej reportersko i trochę eseistycznie. Zależało mi, żeby być jak najbliżej przedmiotu, oddać ten rodzaj doświadczenia zmysłowego i tożsamościowego. Będzie to pierwsza książka na ten temat, ważne uzupełnienie zięjącego braku - w ostatniej chwili, bo za kilka lat nie będzie można skonfrontować zdobytej wiedzy z osobami, które przeżyły Zagładę. Z reportażu wzięłam lapidarność i zasadę, żeby nie przegadywać, nie wyjaśniać, a stawiać na inteligencję czytelnika. Wzorem była dla mnie Lidia Ostalowska i jej „Farby wodne”, ich język – opisowy, ale nie zamykający, prosty, ale nie prostacki, zmysłowy. Drugą referencją był dla mnie Tadeusz Borowski.

Inspirował mnie rodzaj literackiego tonu, jakim ukazywał cierpienie i beznadzieję obozowego życia. Oszczędny, ale pełen intensywności. Wypracowany, ale swobodny. Wierzę, że czytelniczy próg wejścia w tekst nie jest wysoki, bo podczas pisania bardzo mi zależało, żeby jak najwięcej osób przeczytało tę książkę. Ze względu na tematykę Zagłady, ale także dlatego, że potrzebna jest radykalna zmiana w kulturze postrzegania roli ubrania i rzeczy osobistych. Branża mody nie ma nic wspólnego z tym, jak na co dzień posługujemy się ubraniem. Moda w najprostszej definicji to po prostu sposób korzystania z ubrań. To obszar bycia człowiekiem. Poprzez modę w tym rozumieniu mówimy o: tożsamości, władzy, bezpieczeństwie, zdrowiu, emocjach. Nierozumienie tego jest skazaniem się na analfabetyzm. Mam nadzieję, że jak się ludziom pokaże, że ten rodzaj praktyki do śmierci pozostaje z człowiekiem, to zwrócą większą uwagę na to, co mówi o nich i ich relacji ze światem, ubranie na co dzień.

Dwa lata temu ukazał się Twój reportaż – „Wszyscy jesteście dziwni. Opowieści z Coney Island”. W obliczu pandemii książka zyskała nowe odczytanie. Dla mnie jest swego rodzaju rewersem obecnej sytuacji. Bo chyba niczego teraz nie pragniemy tak bardzo jak normalności.

To ciekawe, co mówisz, bo widzisz, ja mam wrażenie, że normalność to dziwność. Moja książka, czyli gabinet osobliwości z Coney, ma dawać do zrozumienia, że każdy z nas ma freaka w sobie i że normalność nie istnieje. To tylko zbiór konwencji, które za pomocą umowy społecznej uznajemy za prawidłowe. To jak z teorii symulakrów Baudillarda – wesołe miasteczko pokazuje nam, że cały świat jest wesołym miasteczkiem. Życie to widowisko, a każdy z nas z nas ma aktorską personę. Przywołując cechy aktora w *sideshow*: ma szczególne umiejętności, szczególny wygląd, szczególny sposób bycia. To wszystko, co dzieje się w cyrku, my też robimy na co dzień. Gramy, gapimy się, boimy, śmiejemy, podniecamy, brzydzimy. Cyrk tylko nam pokazuje taką odsłonę nas samych – nie tę intelektualną, a instynktowną.

Mam taką refleksję, że w czasach kwarantanny ludzie pozwalają sobie na różne małe dziwactwa – golą głowę albo się farbują, robią szalony makijaż, czytają coś, czego zawsze się obawiali, grzebią w swojej osobowości głębiej niż na co dzień i znajdują tam zapomniane kawałki, które zdają się do nich nie przystawać. Odważają się. Eksperymentują. Kwarantanna może być dobrym czasem, żeby odkryć, że każdy jest w pewnym sensie artystą i że siedzi w nas pewien rodzaj bezkompromisowości w kwestii tego, kim chcemy być, kiedy na co dzień świat zamyka nas w jakiś funkcjonalny szablon. Ten rodzaj pozytywnego szaleństwa, a nie informacji lęku i depresji kwarantannowej to temat, którego nie widzę w mediach, a szkoda.

To również książka o wolności, a my znaleźliśmy się w momencie, kiedy wolność trzeba wymyślać na nowo.

Tak, stawiam w niej pytania o to, jak wolność ma być definiowana, kto ją nam powinien dawać, jak się ją negocjuje. Dzisiaj jesteśmy tej wolności pozbawieni i na wielu poziomach zastanawiamy się, każdy w swoim domu, czym ona ma być, kiedy już z niego wyjdziemy. To moment liminalny, kiedy nic nie wiadomo, zacierają się znaczenia, nie ma kategorii, są doraźne wspólnoty, ale niezastane struktury. Rozmemłany świat, gotowy na zbudowanie czegoś nowego. Jeszcze nie do końca wiemy, co ulepimy, ale mamy świadomość, że to będzie inne. Zastanawiam się, w jaki sposób wolność będzie wymyślana na nowo i skąd będziemy czerpać wzorce. Mam obawy, żeby to nie były wzorce narzucone przez państwo albo wzorce dawno przebrzmiałe, marzyłabym, żebyśmy mieli odwagę tworzyć nowe. A żeby to robić, trzeba czerpać z rezerwuaru rzeczy awangardowych, dziwnych,

innowacji. Coney może nas tego uczyć, ponieważ pokazuje, jak ludzie są ze sobą w swojej dziwności, której się nie wstydzą, jak się nawzajem mogą inspirować i tworzyć nieszablonowe rzeczy na poziomie lokalnym. Bo kiedy coś się podnosi do poziomu globalnego, to się unifikuje i związki między ludźmi się rozprężają. Lokalność, rodzinność, solidarność i wspieranie się w swoich dziwnościach – to rodzaj opowieści o byciu w świecie, który się sprawdza. Jest to pomysł na to, jak możemy sobie dawać radę po kwarantannie: mieć grupę wsparcia, która będzie nam dawać siłę, żeby nie myśleć tylko o wartościach materialnych w życiu, ale o twórczości, o byciu sobą. Żeby się nie bać bycia outsiderem, nie bać żyć biedniej, ale autentyczniej, nie bać iść pod prąd.

„To tajemnica przeżycia – pokazujesz dobroć i widzisz dobroć” – to słowa sprzedawcy w Coney.

Dokładnie. Grupa cyrkowców i innych mieszkańców Nowego Jorku związanych z wesołymi miasteczkami na Coney, to ludzie, którzy nie mają kasy, w pewnym sensie nie mają przyszłości, pracują dorywczo i zarabiają marne pieniądze, ale wkładają w sztukę całą swoją duszę, nie oczekując wielkich zwrotów. Nie potrafią żyć inaczej. To też jest ważne pytanie, ile będziemy w stanie oddać za swoją wolność albo na ile będziemy jej potrzebować, kiedy kwarantanna się skończy. Wcześniej ta książka była dla mnie istotna jako diagnoza demokratyczności, w imię czego powinniśmy protestować, kogo chronić, jak dbać o prawa dla każdego i nie wykluczać. Chodzi po prostu o to, żeby osoba, która ma teoretycznie „najgorzej” w społeczeństwie mogła być szczęśliwa. Jeśli tak będzie, to znaczy, że jesteśmy zdrową wspólnotą. Teraz „Wszyscy jesteśmy dziwni” zyskuje nowe odczytanie, o którym wspomniałaś: może być częścią rozważań dotyczących tego, jakie są granice mojej ekspresji, na ile potrzebuję eksperymentować. A może teraz nie chcę, boję się, nie mam siły nawet na to, żeby siebie wyrażać?

Myślisz, że w czasie kwarantanny ludzie są prawdziwsi, czy bardziej się kreuja?

Ciekawe pytanie. Przyglądam się mediom społecznościowym, gdzie ludzie zawsze się kreuja. W czasie kwarantanny kreuja się zaś na nie kreowanie się. Na autentyczność, solidarność. Masa tych postów jest dla mnie mocno narcystyczna, ale dostrzegam też autentyczne gesty dobroci, które, mam nadzieję, są jaskółkami nadziei na to, że internet zrobi się bardziej wspólnotowy. Że mniej będzie selfiaków, a więcej wymiernych gestów i bezgotówkowej wymiany dóbr. Natomiast jeśli chodzi o tę prawdziwość na co dzień, na pewno w warunkach izolacji nie można tak długo trzymać kontroli. Nie chce się nam pozować i spadają z nas maski. Wszyscy mamy trochę taką przymusową psychoterapię przez tę kwarantannę i musimy się przyjrzeć naszemu życiu. Myślę, że jest prawda w krążących w sieci dywagacjach, że ile będzie cięż, rozwodów, alkoholizmu i innych kryzysowych stanów, bo rzeczywiście niewielu z nas sobie pozwala na takie studiowanie siebie nawzajem jak ostatnio, a jesteśmy teraz w takich małych laboratoriach. Dla niektórych to może być terapia szokowa. Myślę, że warto słuchać psychologów, psychiatrów, ale też „analityków duszy”, jakimi są pisarki i pisarze, którzy zawodowo przyglądają się sobie i ludzkiej naturze, żeby dowiedzieć się w czasie tej kwarantanny o sobie czegoś ciekawego.

Literatura i kultura w ogóle, przeczuwają i wyprzedzają pewne nastroje i niepokoje, zanim się one pojawią. W książkach, sztukach teatralnych, muzyce są one artykułowane zanim zauważą je ci, którzy powinni: politycy, analitycy, diagności. To powinno podnosić rangę kultury – gdyby tylko ci, którzy mają władzę zechcieli jej słuchać.

Ja w swoim pisaniu zawsze jestem trochę pod włos. Jestem reporterką, która zajmuje się bardzo niereportażowymi tematami, jak ubrania czy popkultura. Książka o Coney Island zajmuje się rozrywką, codziennym elementem naszego życia, który powinien być tak oczywisty, że w ogóle niewymagający jakiegokolwiek analizy, nie mówiąc już o reporterskiej obecności. Ale nie jest tak. To nie jest oczywistość, a niewidzialność. Codziennosc przyjmujemy za pewnik, uznając, że niektóre rzeczy zawsze takie były, i już. A tymczasem po prostu musimy zmienić nasze spojrzenie. Kiedy poprawiłam ostrość w patrzeniu na Coney, zauważyłam, że to miejsce, w którym zostało wymyślone, czym będzie kultura masowa, czym jest koncepcja „show”, które dziś tak pełno, ale przede wszystkim, dlaczego człowiek jest zwierzęciem, które lubi się bawić. Była do więc wyprawa do źródeł rozrywki. W pracy nad tą książką podobała mi się też laboratoryjność tej wspólnoty. Zawsze uważam, że najfajniej studiuje się takie miejsca i takich ludzi-wyspy, małe społeczności trwające w czasie. To bardzo ciekawa sytuacja dla reportera – ma konkret i potencjał metafory. I dlatego tak mnie interesuje ta dzisiejsza sytuacja kwarantanna, a najbardziej to, co dzieje się w domach, nie to, za czym chodzą reporterzy po mieście. To jest oczywiście ważne, żeby nakreślić tło społeczno-polityczne, natomiast to, co ciekawego zmienia się w człowieku, dzieje się za zamkniętymi drzwiami w tych wszystkich mieszkaniach, małych wyspach.

Jedna z Twoich bohaterek mówi: „Cyrk wywraca na lewą stronę to, co codzienne. Tutaj niebezpieczne jest bezpieczne. Tutaj możesz się przyznać, że pod cywilizowanym garniturem masz instynkty, masz ciało”. Zastanawiam się, jak doświadczenie kwarantanny zostanie skomentowane przez Coney, gdzie przecież nie chodzi o samą zabawę, ale też o poruszanie spraw najwyższej wagi.

Każdy aspekt kondycji ludzkiej jest przez cyrk podejmowany, a zwłaszcza cielesność, dzikość i nieświadomość. Napędzane przez nią instynkty są treścią cyrku. *Sideshow*, czyli burleska, występy aktorskie z niebezpiecznymi przedmiotami czy prezentowanie różnych wyglądów, cały ten obszar cyrkowych narzędzi, może się swobodnie zająć stanem kwarantanny i jestem bardzo ciekawa, jak go opowie. Cyrk to nie tylko performans, ale rodzaj języka refleksji. Może być polityczny i feministyczny, może komentować bezrobocie i wybory prezydenckie, zamrażanie gospodarki, ustawy zaostrzające prawo aborcyjne. Nie ma tabu. *Sideshow* więc na pewno znajdzie sposób, żeby opowiedzieć o kwarantannie, szczególnie, że jest bardzo kameralnym narzędziem. *Sideshow* to nie wielki cyrk ze zwierzętami i areną, tylko widowisko kameralne, w którym jeden człowiek stoi na scenie, z kilka osób stanowi publiczność. W kwarantannie, jesteśmy bliżej takiej cyrkowości. Ciało, instynktów, seksu, funkcji fizjologicznych, na których bazuje cyrk. Co więcej, jestem przekonana, że bez wiedzy o tym, że to robimy, cyrki wyprawiamy sobie teraz w domach. Ci, którzy mają dzieci zapewnili sobie dużo występów w cenie jednego biletu.

Twoja książka, jak i obecna sytuacja, skłaniają do pytania o funkcję śmiechu.

Coney Island pod koniec XIX wieku zostało pomyślane jako taki rodzaj zaplecza, które pozwala funkcjonować człowiekowi nowoczesnemu. Rósł Manhattan i ludzie zaczęli nabywać to, co dziś nazywamy współczesnym stylem życia. Kiedy okazało się, że egzystowanie w ten sposób jest obciążające psychicznie, postanowiono wymyśleć miejsce, które będzie pozwalało się spuścić sobie powietrze. Coney i Manhattan rosną więc w pewnym sensie jako dwie równoległe siły kierujące życiem współczesnego człowieka. Z jednej strony się spinamy, jesteśmy produktywni, robimy kariery, zakłeci w role społeczne, z drugiej cały czas potrzebujemy się zabawić, zjeść, poromansować,

dokarmić nasze wewnętrzne dziecko. Te dwa przeciwstawne bieguny muszą ze sobą współdziałać. Śmiech to niezbywalna część Coney Island. Tak jak płacz, pozwala nam zachować równowagę. Co więcej, poczucie humoru nie jest rodzajem naddatku, na który możesz sobie pozwolić, tylko wtedy, kiedy wszystko w twoim życiu jest dobrze. Gdy jest bardzo źle i trudno, śmiech może być tym bardziej oczyszczający. Przyszła mi do głowy anegdota z mojej nowej książki: Anna Pawełczyńska wspomina, jak wychodziła wieczorami ze swoją przyjaciółką przed baraki w Birkenau patrzeć na dymy unoszące się nad krematorium. Wówczas wyobrażały sobie, w jakich ciuchach wylatywały w powietrze kolejne osoby. Wymyślały je, ich ubrania, bardzo się przy tym zaśmiewając. Fantazjowały też o ciuchach, w jakich same będą palone. Pawełczyńska pisze, że może się to wydawać absolutnie aberracyjne i obłąkańcze, kiedy tak naprawdę takie błahe, codzienne zachowania, jak poczucie humoru i zabawa to rzeczy, które zostają z Tobą do końca i sprawiają, że trzymasz się w pionie. Powinniśmy się więc teraz dużo śmiać. Z nas samych, z tej sytuacji, z polityków, z czegokolwiek chcemy. Zasilać nasze poczucie humoru, bo ono nas uziemia.

Da się Coney Island przeszczepić do Polski?

Na poziomie metafory można odtworzyć je wszędzie. Na poziomie zero: w Polsce działa ruch nowocyrkowy, którego misją jest zmiana myślenia o cyrku i przywrócenie go jako części polskiej kultury, na równi z teatrem czy filmem. Chcą rozpowszechnić wiedzę, że dzisiaj cyrk nie polega na wykorzystywaniu zwierząt i robieniu przedstawień dla dzieci, ale jest równowartościową aktywnością kulturalną, dla poważnych dorosłych osób. Że nadaje się na narzędzie refleksji społecznej, krytyki politycznej, egzystencjalnej opowieści o człowieku. W Lublinie co roku odbywa się Carnaval Sztukmistrzów, gdzie pojawiają się nowe propozycje związane z tą sztuką. Mam nadzieję, że one się na dobre w Polsce zadomowią. W Europie wciąż jest mała świadomość tego, czym jest Coney, dlatego postanowiłam przetłumaczyć swoją książkę. Niedługo jej fragment ukaże się w brytyjskim magazynie „Unpolished”, będziemy się starać wydać ją w USA, może gdzieś jeszcze. To książka-klucz. Nie wielka, epicka opowieść a zestaw do otwierania popkultury dla refleksyjnego człowieka, który chce wiedzieć, w czym uczestniczy uczestnicząc w rozrywce, skąd się wzięły pewne symbole, schematy i dlaczego zabawa ważna w byciu żywą istotą.

Na Literackim Sopocie będziesz gościć w nietypowej roli – jako scenarzystka gry komputerowej Wanderlust: Travel Stories zespołu Different Tales. Jak pracowało Ci się z tym medium?

Praca z tą grą nauczyła mnie zamaszystości i odwagi w pisaniu. Wcześniej byłam bardzo ostrożna i zanim cokolwiek napisałam, bardzo długo się nad tym zastanawiałam, bałam się nonszalancko zostawiać próbki na papierze. Raczej oddawałam głos bohaterom, niż mówiłam własnym. Tutaj musiałam zaś pisać duże połączanie tekstu, na dodatek fikcji, co prawda na podstawie reportażu, ale trzeba było temu nadać rytm, nadpisać wiele historii. To zadanie wymagało ode mnie dużo odwagi. Musiałam się jej nauczyć, na początku wszędzie widziałam banał i nie chciałam dać się temu ponieść. Kiedy już się otworzyłam, bardzo mi to pomogło w pisaniu generalnie. Zrozumiałam też, że pewne historie, które sobie odpowiadamy są uniwersalne niezależnie od medium. Że nie powinnam bać się tego, że to jest gra – sama nigdy nie grałam, więc to było dla mnie kompletnie obce, natomiast kiedy zrozumiałam, że to jest tylko narzędzie, a historię mogę opowiedzieć zgodnie ze swoją filozofią opowiadania, uspokoiłam się.

Nad grą pracowaliście zespołowo. Odpowiadał Ci ten rodzaj pracy?

Strasznie fajne było dla mnie to, że pracowałam z osobami, które są z zupełnie innego świata, świata gier, z gamedevami. Ich mózgi zupełnie inaczej pracują, używają wyobraźni w zupełnie inny sposób niż reporterzy, nie boją się dziecka w sobie, z odwagą tworzą nowe światy. Dużo się od tych tak zwanych nerdów nauczyłam, jeśli chodzi o zaufanie do własnej wyobraźni i tego, co chcę powiedzieć. Cały proces tworzenia gry to była emocjonalny *roller coaster*, bo do tej pory zanim komukolwiek pokazałam kawałek swojego tekstu to musiał on być skończony, a tu scenariusz pokazywałam non stop i ciągle razem w nim dłużyliśmy. Musiałam totalnie znieczulić się na krytykę, to była kooperacja i nieustanna wymiana myśli, taka komuna intelektualna. Coś zupełnie nowego dla osoby, która zwykle siedzi sama i pisze. Jednak kiedy się do tego przyzwyczaiłam, to dało mi to dużo pokory i siły, żeby się nadmiernie sobą nie przejmować, tylko wspólnie pracować nad efektem.

Masz poczucie, że to doświadczenie wzbogaciło Cię jako reporterkę?

Nauczenie się czegoś o kompletnie nieznanym medium było bardzo otwierające, jeśli chodzi o dalsze plany. Zaczęłam się zastanawiać, jak może wyglądać bycie reporterem w przyszłości, jakich możemy używać narzędzi, żeby nie zamykać się tylko na książki. A może reportaż w formie albumu muzycznego? A może musicalowy dokument? Dużo jest miejsc, w których można szukać, dużo osób twórczych, którymi można się inspirować. Najważniejsze to chronić się przed banałem i łatwizną – Innowacyjna forma to coś, co mnie najbardziej nakręca, uwielbiam robić rzeczy po raz pierwszy, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Sama gra wydaje mi się też atrakcyjna ze względu na szerokie dotarcie. Jednych może zainteresować dlatego, że dotyczy podróży, innych z uwagi na reporterską bazę, jeszcze innych jako czytelników, a kolejnych jako graczy. „Wanderlust” jest na przecięciu wielu tematów i dyscyplin

Promujecie grę jako interaktywną książkę. Sądysz, że „Wanderlust” może działać jako próba wyjścia do tych, dla których książka niekoniecznie jest przedmiotem pierwszej potrzeby?

Bardzo bym chciała, żeby tak było. Docierają do nas sygnały, że to trochę tak działa, szczególnie w przypadku młodych czytelników. Nastolatki są wielkimi fanami tej gry. Zachęca ich, bo mocno angażuje zmysły, lubią ją także miłośnicy seriali. Bo to rodzaj takiej rozrywki po godzinach, kończysz coś robić, masz chwilę przed zaśnięciem i zamiast scrollować Facebooka albo coś oglądać, możesz pograć. Dużo osób też grało w podróży. Dzisiaj, kiedy nie możemy odkrywać nowych miejsc, „Wanderlust” może pomóc uwolnić wyobraźnię i te podróże odbywać w głowie. Gra miała być bardzo sensualna, przenosić w kolejne miejsca nie tylko za pomocą społecznej, politycznej historii, ale też pokazując, jak wygląda tam życie. Teraz ukazał się kolejny dodatek, bo wprowadzamy je sukcesywnie: podróż koleją transsyberyjską. Mamy jeszcze trochę zrobionych na zapas. Jest również historia o Coney Island. Dopóki ludzie będą chcieli grać w kolejne podróże, dopóty będą one powstawać.

W reportażu o Coney przywołujesz cytaty z Francisca Bacona odczytany na manhattańskim chodniku: „Pewne książki się smakuje, inne się polyka, ale tylko niewiele się przeżuwa i trawi”. Jakie są Twoje książki-petardy?

Chyba bardziej przywiązuję się do autorów, a najbardziej cenię tych, którzy działają na granicy mediów. Jedną z moich ukochanych autorek jest Joan Didion, której twórczość jest jednocześnie esejem, reportażem i tkwi w niej przedziwna poezja. Jeśli bym się kiedyś do takiego pisania zbliżyła, byłabym bardzo szczęśliwa. Do najważniejszych książek, jakie przeczytałam w życiu należy „Szklany kloz”. Sylvia Plath zrobiła na mnie ogromne wrażenie, często wracam do tej autorki, przemyśliwuję tę powieść, jej poezję i życie opisane w dziennikach. Poza tym jest Susan Sontag i Virginia Woolf – między innymi dlatego zajęliśmy się z Sylwią Chutnik kilka miesięcy temu „Własnym pokojem”, pracą nad tym, żeby go na nowo skomentować, bo to dla nas obu bardzo ważny esej. Wychodzi na to, że najbardziej inspirują mnie kobiety. Natomiast kiedy byłam dorastającą dziewczynką, zanim odkryłam „Dumę i uprzedzenie”, „Wichrowe wzgórza” i tego typu literaturę, zaczytywałam się w tak zwanych książkach dla chłopców i spędzałam godziny nad atlasami planując wyobrażone podróże. Pierwsze opowiadanie napisałam jako dziesięciolatka. Opowiadało o wyspie na Karaibach. Bardzo lubiłam wszystkie „Tomki” i mam wrażenie, że Szklarski zaszczepił we mnie zainteresowanie światem. Być może widać to w „Wanderluście”.

Karolina Sulej – pisarka, dziennikarka - wolny strzelec, reporterka pisząca m.in. do "Wysokich Obcasów", "Pisma", "Vogue", doktorantka w Instytucie Kultury Polskiej UW, gdzie działa w Zespole Badań na Modę i Zespole Badań nad Pamięcią o Zagładzie, jako część którego współtworzyła książkę *Ślady Holokaustu w imaginariu kultury polskiej* (2017). Autorka zbioru reportaży o polskiej modzie po 1990 roku „Modni. Od Arkadiusza do Zienia” (2015), autorka książki reportażowej o Stanach Zjednoczonych, „Wszyscy jesteśmy dziwni. Opowieści z Coney Island” (2018), za którą była nominowana do nagrody im. Teresy Torńskiej. Współautorka zbioru reportaży „Przecież ich nie zostawię. O żydowskich opiekunkach w czasie wojny” (2018), współautorka współczesnej książki-komentarza „Własny pokój o Virginii Woolf” (2019) i jej eseju o tym właśnie tytule dla Wyd. Osnova.

Jest jednym ze współautorów *Wanderlust - książki-gry komputerowej o podróżowaniu*. Wraz z Sylwią Chutnik i Mateuszem Kubikiem prowadziła przez trzy lata na YouTube program „Barłóg Literacki” o książkach i czytelnictwie. Właśnie pracuje nad reporterską książką o roli ubrań i rzeczy w obozach koncentracyjnych i zagłady, która ukaże się w przyszłym roku w wydawnictwie Czerwone i Czarne oraz nad zbiorem portretów Polek, które są innowartorkami, ikonami i edukatorkami seksualnymi i kształtują wiedzę Polek i Polaków na temat seksualności. Nagrywa też podcast o roli ubioru w życiu codziennym dla platformy Storytel – premiera w marcu 2020. Podróżuje i żegluje wraz ze swoim mężem, fotografem i skipperem, Mateuszem Kubikiem.

Paulina Frankiewicz - filozofka, doktorantka w Instytucie Filozofii UŁ, zajmująca się filozofią absurdu. W ramach projektu DO DZIEŁA, od kilka lat recenzuje książki, promuje literaturę, rozmawia z pisarkami i pisarzami, odwiedza europejskie księgarnie. Otwiera własną księgarnio-kawiarnię w Łodzi, o tej samej nazwie. Od 2017 roku redaktorka "Literackiej", gazety towarzyszącej festiwalowi Literacki Sopot